

Czy Krystian Lupa pasuje do dzisiejszego świata?

Jego eliksir już nie działa

Praca w teatrze, owszem, nieraz boli, zwłaszcza przed premierą. Niepokojąca jest jednak fascynacja, z jaką Krystian Lupa mówi o tym bólu, porównując go do porodu – którego siłą rzeczy, jako cismężczyźni, nigdy nie doświadczyliśmy ani on, ani ja.

Mrozek



„Lupa jest dziadem” – mówiła mi jedna z koleżanek ze szkoły teatralnej, gdy jeszcze oboje studiowaliśmy w Krakowie, a ona chodziła do niego na zajęcia. „Ale jest wspaniałym dziadem” – dodała. Ta anegdota w dużej mierze oddaje istotę problemu z człowiekiem, który tworzył przez lata wybitne przedstawienia, a zarazem coraz mniej pasuje do dzisiejszego świata.

W Genewie – po konflikcie z pracownikami technicznymi teatru – odwołano premierę Krystiana Lupy. I to w dodatku premierę, która miała być pokazywana na legendarnym festiwalu we francuskim Awinionie.

Osobie związanej mocno z polskim teatrem nie jest łatwo zabierać głos w tej sprawie. Jako wychowanek teatrologii na Uniwersytecie Jagiellońskim w pierwszych latach XXI w. byłem od początku zawodowej edukacji zderzany z Krystianem Lupą jako obiektem kultu i punktem odniesienia. Wrocławską „Wycinkę” Lupy według Thomasa Bernharda z 2014 r. uważam za jedno z najlepszych i najważniejszych przedstawień ostatniej dekady.

Wspaniałość nie usprawiedliwia tego, że Lupa wulgarnie i agresywnie nakrzyczał na swoją tłumaczkę w Genewie.

Trudno też oczekiwać od pracowników technicznych w innym kraju zrozumienia specyfiki „polskiego geniusza”, faktu, że większość prób zajmowały monolog Lupy, uwagi dla pracowników technicznych były rzadkie, a na grę dla aktorów zostawało 5 do 20 minut.

Wreszcie akceptacji faktu, że, jak twierdzą pracownicy genewskiego teatru, aktor Piotr Skiba przychodził do pracy nietrzeźwy. To, że elementem problematyczności stylu pracy Lupy jest nie tylko on sam, ale też towarzyszący mu w pracy i życiu od lat 70. Skiba, widzieli też widzowie ostatnich produkcji w Teatrze Powszechnym w Warszawie. Tu aktor potrafił krzyknąć na pracowników technicznych ze sceny w trakcie przedstawienia. W dokumencie o próbach Lupy do

„Procesu” pt. „Spróbujmy wskoczyć do studni” płomienna kłótnia Skiby i Lupy przy reszcie współpracowników zajmuje połowę filmu.

W wywiadzie Ewy Kalety dla „Wyborczej” reżyser tłumaczy się ze swojego podejścia i ze szwajcarskiego kryzysu – ale mocno niefortunnie. Lupa zdawał się wielu w Polsce wiecznie młodym wampirem – jak wtedy, gdy w wieku 71 lat zaskoczył ożywczą siłą i skalą sukcesu „Wycinki”. Dziewięć lat później widać jednak, że gdy przychodzi do rozmów o takich wyzwaniach, jak przemoc czy wycisk, eliksir wiecznej młodości przestaje działać.

Gdy Lupa mówi o ginącym „etosie pracy”, brzmi nie jak przedstawiciel twórczej bohemy, ale jak polski przedsiębiorca narzekający, że dzisiejsza młodzież jest roszczeniowa. Nawet jeśli faktycznie reżyser niekomfortowo zderza się z innym podejściem do pracy, nie próbuje tak naprawdę go zrozumieć, nie próbuje deklarowanych przez siebie wielokrotnie ideałów humanizmu przełożyć na sytuację pracy. „W imię rozmaitych racji

Podpisuję się pod stwierdzeniem Agnieszki Jakimiak, że genialne premiery Krystiana Lupy udawały się nie „dzięki” jego stosunkowi do pracy, ale „mimo” tego stosunku

przemian kulturowych działo się wiele złego i wiele przesady” – mówi Lupa. I brzmi tu trochę jak ultrakonserwatywa Krzysztof Zanussi, powtarzający do znudzenia bon mot, że feminizm jest jak cholesterol – może być zły i dobry.

Krystian Lupa pyta też: „Czy wszyscy młodzi artyści głoszący nowy, bezbolesny sposób pracy nigdy się nie denerwują, czy też może denerwują się tylko w słusznej sprawie, podczas gdy ci »starzy« denerwują się z potrzeb sadystrycznych?”. Reżyser próbuje obrócić dyskusję o standardach pracy w dyskusję o ageizmie. Pozwolę sobie odpowiedzieć na tyle, na ile pozwała mi moje praktyczne doświadczenie dramaturga z ostatnich kilku lat.

Oczywiście, że reżyserki i reżyserzy z pokolenia 30-, 40-latków, z którymi zdarzyło mi się pracować czy po prostu być na ich próbach, denerwowali się. Zdarzało im się w sytuacjach na-

pięcia czy kryzysu przeklinać albo wychodzić z sali. Ale natychmiast próbowali naprawić takie sytuacje, uważali je za wstydliwą porażkę, a nie za metodę pracy. Ton, w jakim Lupa mówi o tych sprawach, powoduje, że trudno mi uwierzyć w to, że chodzi po prostu o pewne koszty przeciwstawione „bezpiecznym formułkom relacyjnej higieny”, jak wyraża się Lupa. Zwłaszcza to, co mówi o bólu i cierpieniu. Jest różnica między zaakceptowaniem bólu jako nieodłącznej części życia, także bólu ego związanego z wystawieniem swojej pracy twórczej na ocenę, nierzadko negatywną, na odrzucenie – a apologią bólu jako „warunku” sukcesu, spełnienia i twórczości.

Praca w teatrze, owszem, nieraz boli, zwłaszcza na ostatnim etapie, przed premierą. Niepokojąca jest jednak fascynacja, z jaką Lupa mówi o tym bólu, porównując go do porodu – którego siłą rzeczy, jako cismężczyźni, nigdy nie doświadczyliśmy ani on, ani ja.

Panie Krystianie – obaj wychowaliśmy się w kraju ultrakatolickim, kraju skażonym romantycznymi kliszami.

Jak napisała Maria Janion, „naród, który nie umie istnieć bez cierpienia, musi sam sobie je zadawać”. Powinniśmy wszyscy tym bardziej uważać na pochopne uwznioślanie, romantyzowanie cierpienia i bólu.

Nie podpisuję się pod mściwą satysfakcją, z którą aferezę wokół odwołanej premiery przyjęło sporo osób w polskim środowisku teatralnym, dając temu wyraz w mediach społecznościowych, niejednokrotnie osób, które bardzo cenię. Rozumiem tę satysfakcję, wynika ona z gniewu na wyjątkowe uprzywilejowanie artysty, z mową milczenia wokół niego i poczucie niepewności własnego bytu w polskim systemie teatralnym – ale jej nie podzielałem.

Podpisuję się jednak pod stwierdzeniem, które wygłosiła eseistka i reżyserka Agnieszka Jakimiak – że genialne premiery Krystiana Lupy udawały się nie „dzięki” jego stosunkowi do pracy, ale „mimo” tego stosunku. „Udawa-

ło się, pomimo złego traktowania ekip technicznych, pomimo naciągania budżetów do niebotycznych rozmiarów i zmian kluczowych decyzji w ostatnim momencie. Pomimo drenowania budżetów teatrów i pomimo rozsadzania terminarzy. Pomimo spustoszenia. Te spektakle byłyby tak samo super, jakby te wszystkie rzeczy się nie działy” – napisała Jakimiak.

Jako teatrolog i jako dziennikarz z kolei nie mogę nie pamiętać, o ilu sprawach związanych z przemocą w teatrze, o których nierzadko pisałem, zrobiło się w Polsce w pewnym momencie nagle cicho. Dotyczą one osób nie tak spełnionych i sławnych jak Krystian Lupa, ale przez lata mających w teatrze w Polsce dużą władzę. Osoby te spotkały się z dużo poważniejszymi oskarżeniami, a polski wymiar sprawiedliwości nie wyciągnął wobec nich konsekwencji.

Henryk Jacek S., były dyrektor Teatru Bagatela w Krakowie, usłyszał na początku stycznia 2020 prokuratorskie zarzuty doprowadzenia do innej czynności seksualnej, naruszenia nietykalności cielesnej, naruszenia praw pracowniczych. Kolejne rozprawy były przesuwane, wyroku wciąż nie ma.

Włodzimierz Staniewski, były już dyrektor Ośrodka Praktyk Teatralnych „Gardzienice”, został oskarżony przez dawne współpracownice o molestowanie seksualne, przemoc fizyczną, mobbing. Napisałyśmy o tym w „Wyborczej”. Prokuratura wszczęła śledztwo – ale potem umorzyła je z powodu przedawnienia, po drodze zaś zawiesiła je – bo nie mogła przesłuchać osób przebywających akurat za granicą. Gdy chodzi o obrazę uczuć religijnych, polskie organy ścigania umiejniają jakoś doprowadzić do przesłuchania w innym kraju. W lutym tego roku Staniewski przeszedł po cichu na emeryturę. Nigdy nie przesłał „Gazecie Wyborczej” żadnego sprostowania, nigdy nie odpowiedział też na nasze pytania.

Genewa, Paryż, Awinion, legenda największego artysty w polskim teatrze, teksty w najważniejszych europejskich dziennikach – nie dziwię się zupełnie z tego, że sprawa Lupy jest taka głośna. Mogę tylko mieć nadzieję, że zmieni społeczną świadomość. I że obok dyskusji o kompromitacji wielkich twórców będziemy też upominać się o sprawców przemocy naszej powszedniej. ● Witold Mrozek